

Michał Choromański

Biali bracia



Michał Choromański

BIALI BRACIA

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-97-2

Copyright © Michał Choromański

Tekst: Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1990

Projekt okładki: Marcin Labus

I

Zdążył na dworzec dopiero na godzinę 22.15. To go bardzo zaniepokoiło, gdyż kurier do Charkowa odchodził za pół godziny. Na szczęście kolejka przed kasą nie była zbyt długa; obliczył, że jest dwudziesty trzeci.

Jakaś baba z tłumokiem na plecach kręciła się przed nim.

– Dokąd to obywatel jedzie?

Zwrócił ku niej pociągłą, wzdurliwą twarz z przymkniętymi powiekami i nic nie odpowiedział. Takie ponure, trochę aroganckie milczenie mogło zniechęcić każdego, lecz baba, wytarłszy okrągły rosyjski nos z wielkimi dziurkami, poprawiła na plecach kraciasty tobołek i spytała powtórnie:

– Dokąd to obywatel jedzie, może do Moskwy?

Milczał. Nagle zobaczył czekistę kolejowego, który podsłuchiwał oparty o ścianę tuż obok. Wtedy rzekł:

– Jadę, babciu, do Charkowa.

Głos miał kusząco miękki i ładny, zdradzający dobrego, czystego człowieka. Wydawało się to jednak dziwne. Opuszczone w dół kąciki ust i przykre, nieruchome oczy narzucały każdemu myśl o szorstkim i nie miłym głosie.

Nasunął na czoło czapkę i schował brodę w podniesionym kołnierzu czarnego palta. Nie słuchał, jak baba paple o bydłych wagonach i rekwizycjach.

Wreszcie kiedy czekista odszedł, odezwał się krótko:

– Dajcie mi spokój. Trzymajcie się lepiej kolejki.

Tym razem głos miał rzeczywiście przykry.

Zbita z tropu baba spojrzała nań zdziwiona, potem odwróciła się i pokazała mu tyłek. Prawdopodobnie nie zauważył tego; głowę miał pochyloną na pierś.

Tymczasem kolejka posuwała się naprzód. Był obecnie szesnasty. Jego wygląd zdradzał raczej zadumę niż niepokój. Dopiero punktualnie o 22.40 spojrzał na zegarek. W tym samym momencie rozległ się gwizd lokomotywy i kurier złożony z pięciu czy sześciu wagonów z łoskotem i ciężkim sapaniem wjechał na peron. Przez szklane drzwi zauważył przesuwające się oświetlone, zaśnieżone okna wagonów i kolejarzy stojących z czerwonymi latarkami na stopniach. Słychać było czyjeś wymyślenia i krzyki. Wojskowy w spiczastym hełmie spuszczonego na twarz wszedł z peronu i wniósł ze sobą śnieżny obłok i powiew zimnego wiatru.

Spojrzał znów na zegarek, minęły trzy minuty. Chociaż był dziesiąty, zrozumiał, że biletu kupić już nie zdąży.

– Kasy nie zamkną, póki wszystkie bilety nie zostaną sprzedane, a miejsc starczy – zauważył bagażowy.

To go zwiodło. Był gotów wziąć swój worek i przekraść się na pociąg bez biletu, musiał bowiem koniecznie odjechać dzisiaj wszystko jedno w jaki sposób. Gdy się zorientował, że bagażowy zakpił z niego, było już za późno: rozległ się trzeci dzwonek i pociąg ruszył. Rzucił się ku wyjściu, chciał dać kontrolerowi parę groszy, żeby ten go przepuścił, lecz nagle zrezygnował i machnął ręką.

Ruchliwy i niespokojny przez parę chwil, miał obecnie znowu ponury i niedostępny wyraz twarzy.

Wszedł do poczekalni pierwszej klasy, z hałasem zamykając drzwi.

W ten sposób Piotr Brajtis nie zdążył wyjechać do Charkowa w oznaczonym terminie (co było dla niego niezmiernie ważne), a konsekwencje tego faktu okazały się niespodziewane, i przykre.

II

Wchodząc do poczekalni natknął się na kupca Graasa. Od razu zauważył znajomą twarz z melancholijnymi, wąskimi oczami i lewym wąsem sterczącym do góry. Odwrócił się z miną niezadowoloną, gdyż miał poważne powody, ażeby unikać tego spotkania, lecz tamten położył mu ciężką, czerwoną dłoń na ramieniu.

– Dobry wieczór panu. Nie wiedziałem, że pan wciąż jeszcze przebywa, w naszym mieście.

Brajtis spojrział złowrogo na czerwoną rękę, usunął się spod jej ciężaru i z zupełnie już opanowaną twarzą rzekł prawie że radośnie:

– A, dobry wieczór. Nigdzie nie wyjeżdżałem.

– Właściwie to nigdy nie wiadomo, kiedy pan jest, a kiedy pana nie ma – z naciskiem powiedział Graas.

– Ale może pan być pewien, że gdziekolwiek jestem, zawsze o panu pamiętam.

W odpowiedzi tej był zapewne jakiś ukryty sens, ponieważ i drugi wąs Grasa opadł nagle. Oznaczało to pewne niezadowolenie czy też konsternację. Tę właściwość zauważył Brajtis jeszcze w zeszłym roku, gdy układał się z nim o kupno zdemolowanej kamienicy.

Było to pewnego jesiennego wieczoru, kiedy Graas dopiero co wrócił do domu po całodziennym uganianiu się po czarnej giełdzie, i czekając na herbatę, grał na flecie.

Okno było otwarte; Graas widział swoje podwórko aż do furtki, kawał ciemnozielonego nieba i czerwone kolory klonów. Furtka była cały czas zamknięta i nikt, nawet pies, nie wszedł przez nią. Kupiec był tego pewien. Zdziwił się przeto, gdy nagle ukazała się w oknie jakaś postać. Był to mężczyzna, który oparty jedną ręką o parapet zapytał:

– Przepraszam pana bardzo, czy pan Graas jest w domu?

Graas odłożył flet, wytarł usta chusteczką i odpowiedział:

– Nie wiem. Zdaje mi się, że go nie ma. A czego pan sobie życzy?

– To wielka szkoda, bo chciałem od niego kupić dom.

Kupiec wziął do ręki flet, obejrzał go i znowu położył na stole.

– W takim razie – powiedział – niech pan obejdzie naokoło i wejdzie do tego pokoju.

A gdy Brajtis wszedł, spojrział na niego przelotnie, bez żadnego zaciekawienia.

– O jakim domu pan wspominał? Jestem Graas.

– Domyśliłem się tego – rzekł tamten z promieniejącym uśmiechem – mówiłem o pańskiej kamienicy na bulwarze Lenina.

– Więc cóż? To bardzo ładna kamienica.

Właśnie w tej chwili drugi wąs Graasa opadł w dół. Chodziło o to, że dom jego został rok temu zniszczony podczas pogromu, później urządzono tam koszary dla denikinowców, jeszcze później zarekwirowali dom bolszewicy, którzy palili w piecach posadzkami i drzwiami. Obecnie dom stoi bez dachu, bez okien, a nawet bez schodów, mieszka tam banda włóczęgów i dzieci.

„Nie wygląda na wariata, myślał Graas, po diabła w takim razie kupuje?” Węszył zasadzkę czy też jakieś sprytne nabieranie, lecz nie wiedział, gdzie się czai niebezpieczeństwo, był więc niezadowolony i niepewny siebie.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI